Ner 22 Kraków 9 lipca 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny" — w Krakowie.

JĘZYK.

Jeden z naszych uczonych gramatyków zajmujących się badaniem naszego języka co do znaczenia i wartości skladających go wyrazów, oraz poszukiwaniem prawideł, wedle których wyrazy te skladają się na mowę, ks. Onufry Kopczyński, powiedział: „Różnimy się, ludzie od zwierząt rozumem i mową." — Jakkolwiek nie bezwarunkowo zgodziéby się na to przyszlo po bliższej rozwadze; to jednak widoczne jest, że między żyjącemi na ziemi istotami sami tylko ludzie obdarzeni są na ziemi wrodzoną do mówienia zdolnością. — Niektóre zwierzęta wydają pewne głosy, których znaczenia pojmują inne tego samego rodzaju zwierzęta, a człowiek je zgaduje — ale nie ma w tem takiej doskonałości jak w mowie ludzkiej, bo do mowy potrzeba nie tylko głosu, pojedyńczych nawet wyrazów, ale i myśli; dla tego o człowieku, który zdaje się nic nie wiedzieć co mówi, lub mówi bezrozumnie, mówimy, że gada, plecie.

Narzędziem do mówienia są różne części ciała. Jedne służą też i do oddychania jak płuca, krtań, bo to co przy mówieniu slyszymy, tj. glos, jest wzruszeniem powietrza, którego fale uderzają nasz słuch, a uderzają go rozmaicie, podług tego jak rozmaicie same są wzruszone wyparciem kolumny powietrza z płuc przez krtań, w czem ona ulega wplywom innych narzędzi do mówienia, do których należą: podniebienie, wargi, zęby, język i nos. Ztąd pojedyńcze dźwięki mowne, tj. głoski (litery) dzielone bywają na wargowe, podniebienne, językowe, nosowe. Ze wszystkich narzędzi ciala mówniczych język zdaje się być najważniejszym — ztąd, wyrażają się o wiele mówiącym, że miele językiem, że mu język lata jak kołowrotek itp. Ze względu na pożytek niezmierny i wielką także szkodliwość mowy, zrobiono zagadkę o języku, jako o tem co jest najlepszego i najgorszego zarazem na świecie. A nawet często wyraz ten: język, oznacza to samo co mowa. Ściśle biorąc jednak wyrazy, mowa i język są tylko bliskoznaczne. Wyraz bowiem mowa znaczy wydawanie myśli za pomocą wyrazów; ludzie wszędzie mówią jednakowo tj. swoje myśli mową wyrażają. Ale język nie wszędzie jest ten sam, bo każdy naród ma swój język własny, a że narodów jest bardzo wiele na świecie, dla tego i języków jest bardzo wiele. — Biorąc pod kredkę wszystkie tak różne bardzo między sobą, np. język polski i niemiecki, jak podobne sobie, np. polski i czeski można języków z górą tysiąc naliczyć. Zważmy jaka to ogromna rozmaitość! to tak samo jak między roślinami albo innemi tworami Bożemi. — Rośliny np. mają wszystkie w tem podobieństwo do siebie, że mają korzenie, pień, gałęzie, liście, kwiat, owoc; ale jakaż różnica w samym układzie korzeni, w budowie pnia, w kształcie i kolorze liścia, i t. d. Tak samo i zwierzęta: w ogóle podobne są do siebie co do głównych organów ciała i jego składów — a jakaż przy tem ogromna rozmaitość!

Kto zna więcej niż jeden język, ten wie, że co się jednym da wyrazić w pewien sposób, to niekiedy zupełnie w sposób inny trzeba wyrazić innym językiem, bo każdy język ma swój układ wewnętrzny, swój mechanizm, swój duch. — Różnice tak bywają wielkie niekiedy, że czasem wyrażenia z jednego języka trudno bardzo przełożyć na język inny — czasem wcale zrobić się to nie da, chyba przez pewne kołowanie, szerokie opisywanie; albo przez podobieństwo.

Różnice te zdarzają się między językami, jakiemi mówią główne szczepy rodu ludzkiego, np. Szczep słowiański, germański, romański i inne. Języki widocznie podobne do siebie, są *narzeczami*, djalektami języka głównego. Tak słowiański język zrodził narzecza: polskie, czeskie, ruskie, słowackie, serbskie, itd.; język romański zawiera języki: włoski, francuzki, hiszpański; plemie teutońskie czyli germańskie mówi językami: niemieckim, angielskim, holenderskim, duńskim itd. A jeszcze drobniejsze są różnice w prowincjach jeden naród składających. — Między słowakami np. inaczej mówią Kroaci, inaczej Illiryjczycy; język niemiecki ma *hochdeutsch* i *plattdeutsch* (wysoką i płaską niemczyznę); Włosi w Toskanji inaczej mówią niż w Lombardji albo w Piemoncie. Wiele czasem znaczy sposób wymawiania,

czyli jak pospolicie mówią: *akcent*. Po akcencie to poznać można gdy mówi Mazur, Poznańczyk, mieszkaniec z nad Buga; gdy po niemiecku mówi Berlińczyk lub mieszkaniec Lipska; po francuzku Paryżanin lub Marsylczyk. Drobne te różnice w wyrazach lub akcencie, zwą się — prowincjonalizmy.

Skoro wszyscy pochodzimy od jednych rodziców, skądże taka w językach różnica? Uczeni mówią, że wszystkie języki europejskie i azjatyckie, a więc i te, któremi mówi napływowa ludność do innych części świata np. do Ameryki, głównie dziś zaludnionej plemieniem z Europy przybyłem (o językach z innych części, Afryki i Australji nie można jeszcze wyrokować bo za mało są znane uczonym) — utrzymują tedy uczeni, że języki wszystkie znane, pochodzą od jednego, którym w zapadłej starożytności mówiono niegdyś w Indjach (w Azji). Język ten zwie się *Sanskrycki* i w nim pisane są święte księgi Jndjan, a podobno i duchowni tamtejsi Braminowie, (t. j. wyznawcy boga zwanego Brahme) mówią nim jeszcze, a może jakie pokolenie Indjan żyjące prawie niepodlegle w górzystych i lesistych okolicach, jakich na ogromnej przestrzeni Indji Wschodnich nie brakuje. — Otóż badacze mowy ludzkiej powynajdywali, mnóstwo wyrazów w każdym ze znajomych języków, które są podobne do macierzystego Sanskrytu. Byłoby to dowodem, że kolebką rodu ludzkiego dziś żyjącego na ziemi są Indje — a może tam i raj ziemski, mieszkanie pierwszych rodziców naszych należy pomieścić, bo też i piękność niektórych tej krainy okolic — czyni je tem, czem, jak się nam zdaje powinien być raj na ziemi. Ludzie rozradzając się coraz więcej zaczęli się coraz dalej od głównego siedliska swych przodków wynosić. — Całe plemiona, całe narody parte jedne przez drugie, odbyły takie dalekie w szeroki świat wędrówki, z których już nigdy do pierwotnych siedzib nie wróciły. — Pierwsze takie wędrówki ludów, może pokoleń tylko, a może tylko rodzin, znajdując obszary puste, zaludniły je, a żyjąc zdaleka od wpływów poprzedniego gniazda zmieniły też nieco i język swój, — co tem łatwiej pojąć, że w nowym klimacie spotykały nowe przedmioty, nowe wrażenia — i nowy kierunek wyobrażeń niemi zawładnął. Ci, którzy na miejscu pozostali lub mniej się od niego oddalili, mniej mieli powodów do zmiany języka prowadzących — ale je mieli także, z własnego kształcenia się dojrzewania wynikające.

(Dokończenie nastąpi).

CHORY

WOLNY PRZEKŁAD Z BARANŻERA

przez

Teodora Rutkowskiego.

Pierś moja chora, usta oniemiały;
A w koło wszystko radośnie odżywa,
W majowych barwach już widnokrąg cały,
Śnieżna czeremcha roje pszczół przyzywa;
Z kwitnących dolin zniknął tuman mglisty,
Bóg darzy ziemię tchnieniem zmartwychwstania;
Powróć mój głosie, słaby ale czysty,
Powróć, jest jeszcze wiosna do śpiewania.

* * *

Eskulap, czarę z płynem rubinowym
Z rąk mi wytrącił — wesołość omdlewa —
Lecz oto ziemia drgnęła życiem nowém:
Wiosna, czar słodki miłości rozlewa;
Ptaszek gniazdeczko swe wije bezpieczny,
Róża zefirom wonną pierś odsłania.
Powróć mój głosie, słaby lecz serdeczny,
Powróć, jest jeszcze miłość do śpiewania.

* * *

Gdy Francja w nowe przystraja się godła,
Pomścijmy pieśnią trzybarwne sztandary,
Którym niepamięć dziś urąga podła,
A w cześć orłowi dajmy łzę ofiary.
Burze, mownicy, kraj wzruszają cały;
Kto dzielny sercem, chwila do działania.
Powróć mój głosie, słaby ale śmiały,
Są dziś zasługi jeszcze do śpiewania.

* * *

W przyszłości widzę, jak wolność wygnana
W piorunach wraca — despoci, w pył czołem!
Próżno na pomoc liczycie tyrana;
Siła zwierzęca padnie przed aniołem.
Niedźwiedź północny, przerażon i szumny,
Gnany gromami pierzcha bez szemrania.
Powróć mój głosie, słaby ale dumny,
Będą tryumfy jeszcze do śpiewania.

* * *

Czemuż tak smutna rzeczywistość naga?
Ziemia ożyła wiosną rozkwitnięta,
A w naszych sercach uśpiona odwaga
Znosi kajdany — wola nam odjęta.

Grecya kona — a Gal stoi drżący
Łzą tylko przeczy złemu panowania.
Powróć mój głosie, słaby lecz kojący,
Są męczennicy jeszcze do śpiewania.

WNUCZKA

Ustęp z pamiętników Wesołej Kobiety

przepisał

J. K. TURSKI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Plotki a prawda.

Czułam niejako ich daremność... wiedząc, że wyroku Wysokiego Władcy już cofnąć nie w mocy ludzkiej.. Zawsze jednak czasem iskierka nadziei rodziła się w mej duszy, kiedy list przychodził z Warszawy. Ale zawsze nadzieja ta słabła po jego przeczytaniu. Tymczasem zbliżała się i wiosna. O! jakże ja tej wiosny czekałam... z jakąż radością powitałam pierwszego bociana, który sobie na naszym dworze słał corocznie gniazdeczko! Byłabym go ucałowała za to, że mi już zwiastował to szczęście, które ostatnim promykiem nadziei uśmiechało się do mego serca... Lecz po chwili zachwytu łzy rozrzewnienia i żalu świeciły już w moich oczach... gdy złowieszcze przeczucie gasiło mi ten ostatni promyk ułudy...

Rano w piątek 16 kwietnia przyszedł jak zwykle Petro nasz z pocztą do gabinetu mego dziadka. Ja stałam przy biurku staruszka, który już nie odpędzał mnie od siebie, chociaż zajęty był książkami — Petro przyniósł gazety i listy... Z bijącem sercem ujrzałam jeden między nimi, który natychmiast zwrócił moję uwagę.... Był z czarną pieczątką... Porwałam go drżącą ręką... Rozdarłam pieczątkę — i wypuszczając list z ręki zawołałam w rozpaczy: Umarł!...

Dziadek chwycił mię za ręce... byłam bezprzytomną... posadził mię na swojem krześle — i ocucił... Na ziemi leżała kartka pogrzebowa Józefa...

— O Boże! Boże! za coś mię tak srogo ukarał! zawołałam załamując ręce w rozpaczy i wybuchłam okropnym płaczem... Dziadek koił serdecznemi swemi łzami moję boleść i podtrzymywał tylko pod gromem, który we mnie uderzył. Był to cios dla mnie okropny. Chociaż bowiem w mych zwątpieniach, przygotowywałam się do niego, nie stracił on jednak nic na swej sile, i ugodził we mnie całą swoją potęgą... Parę razy upadłam wówczas w stan omdlenia — dziadek mię cucił i pocieszał... ale jakżeż mię biedny mógł pocieszać, kiedy i on sam potrzebował pociechy...

Obok kartki pogrzebowej był list pana Jana oraz mała karteczka ze słowami poczciwego Józefa. Pan Jan opisywał ostatnie chwile i śmierć biednego artysty. Był to obraz krótkiemi słowy skreślony, rozdzierający nasze serca, dzisiaj spokojniejszą już ręką, i sercem, które oswoiło się z niedolą i cierpieniem — przepisuje z niego jeden ustęp — wówczas nie byłam w stanie odczytać całego bez wytchnienia.

„Wieczór przed dniem nieszczęścia, pisze pan Jan, pogorszyło się okropnie, lekarz w ostatnim krwiotoku widział już gasnące życie... kazał czuwać przy chorym i ani na chwilę go nie odstępować. Ja i pani Kajetanowa byliśmy ciągle przy nim — matka, ojciec i rodzeństwo nie odstępowali go ani na krok. On leżał osłabiony ale przytomny, nie miał jednak ani tyle sił, aby przemówić słów parę. Serce ściskało się z rozpaczy, patrzeć na tego męczennika... O godzinie 10 odezwał się.... Mamo!..... Matka zbliżyła się do jego łoża.... Ja umrę.... nie płaczcie bardzo.... ale pozwólcie mi jeszcze parę nut napisać... Matka wstrzymując się od głośnego płaczu podała mu papier nutowy, na którym od kilku dni pisał jakąś żałosną dumkę... a on drżącą ręką zaczął na nim pisać ołówkiem... napisawszy coś cztery wiersze, upadł prawie bez sił — a z piersi wydarł mu się jęk, który nas okropnie przeraził. Zbliżyliśmy się — leżał prawie omdlały, i zimny pot wystąpił mu na czoło. W chwilę maleńką potem zasnął. Była to pożądana ulga dla niego. Sen, któregośmy oczekiwali wszyscy z upragnieniem trwał niemal przez całą noc. Nad samem ranem przebudził się. Sen dodał mu sił. Podniósł się na posłaniu, a gdy mu pani Kajetanowa podawała lekarstwo rzekł: Nie będę pił... proszę księdza sprowadzić... Łkanie powstrzymywane przez wszystkich słychać jednak wtedy już było między nami..... On je usłyszał i rzekł: Nie płaczcie!...

Ksiądz przyszedł — chory wyspowiadał się i przyjął najświętszy sakrament z największą przytomnością i potem zdawał się być spokojniejszym. Koło 9ej rano zażądał papieru, na którym napisał te słowa, które pani przesyłam. Drżącą i stygnącą ręką napisał je na kilka godzin przed śmiercią.“ —

Na karteczce tej, którą chowam po dziś dzień jako świętą relikwię po moim przyjacielu, bardzo nieczytelnie i cienkiemi jak włosek głoskami są napisane te wyrazy.

> „Droga Panno Paulino! Nie dotrzymałem słowa — ale Bóg nie pozwolił. Wdzięczność i błogosławieństwo Tobie za uczucie jakie obudziłaś w mem sercu i za Twoją miłość! Więcej nie mogę pisać. Twój Józef.“

Napisawszy z najwyższem wysileniem tę karteczkę oddał mi ją mówiąc: — prześlij. — Potem żegnał się z nami wszystkimi i zanoszącą się od płaczu panią Kajetanową pocałował w rękę... O tej pani Kajetanowej dowiedzieliśmy się nareszcie, co go tak do niej przywięzywało. Zawdzięczał on jej wyratowanie jego ojca od nieszczęsnego zarzutu przeniewierstwa. Powierzane pieniądze ojcu jego skradziono. Było ich kolo 3000 rubli. Biedny człowiek nie umiał sobie poradzić, tymczasem zaś nieprzyjaciele jego, którzy mu nigdy nie mogli nic zarzucić, i ani na jotę dostrzedz w jego rachunkach pomyłki, czychali tylko na tę porę. Zażądano od niego ścisłych rachunków — a on tymczasem nie mógł owej sumy zastąpić. Wtedy pani Kajetanowa nie znająca jeszcze Józefa, wiedząc, że ojciec jego nie pójdzie do bogatego bankiera — z którym był zawsze w nieporozumieniu sama przyszła do niego i ofiarowała mu pożyczkę z 3000 rubli. Józef o tem się dowiedziawszy kochając swego poczciwego ojca nad życie, nie zapomniał nigdy wdzięczności dla tej kobiety. I teraz też umierający prawie, pocałowawszy ją w rękę rzekł: Bóg Pani zapłać za to, coś dla mego ojca uczyniła. Wtedy się dopiero wykryła cała tajemnica jego przywiązania do niej, spotęgowanego wdzięcznością za doznawaną ciągłe opiekę nad sobą...

O godzinie 12 w samo południe opadła mu głowa na poduszki — westchnął zamknął oczy... i złożywszy ręce na piersi — skonał.“

Ze mną dziadek miał wiele kłopotu potem. Przeniesiono mię z krzesłem do łóżka, w którem przeszło dwa tygodnie przeleżałam w gorączce, a przyszedłszy do siebie... miałam już dość sił do pogodzenia się z mojem okropnem przeznaczeniem.

Taka jest historja mojej pierwszej miłości... Ile w niej było szczęścia i rozkoszy, każdy widzi, ja dodać tylko winnam dzisiaj — po latach wielu różnych doświadczeń i prób, że miłość ta pierwsza moja — była zarazem jedyną w mojem całem życiu. Dodać także muszę dla zaokrąglenia obrazka, że po śmierci Józefa kiedy już świat cały przyznał mu znakomitą przyszłość, nie potrzebując się o nią troszczyć... pan Zygmunt raz jeszcze zajechał do nas, i jak się później dowiedziałam z zamiarem kondulencji, uznania talentu Józefa — i — oświadczenia się o moją rękę. Dziadek mój kazał mu oświadczyć, że jestem chorą, i przeprosić, że go nie przyjmuje. Zbankrutowany panicz sprzedawszy zadłużoną wieś jakiemuś emerytowi, wyniósł się na stałe mieszkanie do Lwowa, gdzie dotąd żyje z kart — opowiadając jednak zawsze o swej przyjaźni serdecznej z Mejerbeerem i hr. Montalembertem.

Na tem urywa się Pamiętnik, dziwnie zapewne treścią swoją sprzeciwiający się z tytułem swej Autorki... Mimo jednak tej sprzeczności, zostawiam go z całym napisem — „Wesołą“ bowiem nazywaliśmy tę kobietę która mimo tylu nieszczęść, których pierwszem ogniwem było opisanie w tej części jej pamiętników — umiała jednak wszystkie znosić z męzkim umysłem i wytrwałością, zbywającą niejednemu mężczyźnie — i nieraz swem opowiadaniem serdeczny śmiech obudzała w słuchających.

K o n i e c.

WYMYTA PODŁOGA.

RAMOTKA Z ŻYCIA PROWINCJONALNEGO

PRZEZ

WŁODZIMIERZA ŁADĘ.

(Ciąg dalszy).

I.

Pani Piwczyna.

— Ale ja jestem! zawołała żona. — To połączenie wywyższy nas; powróci mi utracone stanowisko w społeczeństwie....

— Ależ oni nic nie mają!

— Natalka będzie miała i za nich i za siebie.

— W tem właśnie sęk! A jeśli Natalka nie zechce? bo przecież i jej zdanie w tym względzie....

— To moja rzecz. Serwacy nie mięszaj się....

— Czemuż tak się gniewasz, Liziu? Ciągle mi mówisz: Serwacy! Serwacy! przecież mam Idziego na pierwsze imię.

— Po co się wtrącasz w kobiece gospodarstwo. Ja chcę uszlachetnić córkę, a ty....

— Poczekaj duszko; powiem ci coś:

Uda się intryga babia:
Weźmie córkę goły hrabia.

Pani Lizia zbladła z gniewu i przystąpiła z zaiskrzonem okiem do męża.

— Co, co?... babia intryga?... goły hrabia?... oto twoje plebejuszowskie wyobrażenia... twoje polityczne zasady!... Nie daruję ci tego... Magdusia!...

— Ależ Liziu, to tylko dla rymu... babia, hrabia....

— Dla rymu chcesz zgubić córkę!... Magdusia!!.... widać, żeś nie Idzi, nie Serwacy nawet, ale Bartłomiej! prawdziwy Bartłomiej!... Magdusia!...

Magdusia stanęła we drzwiach.

— Wołaj Franciszka i Jerzego; wynosić meble.... Nastka i Marysia niech mają w pogotowiu szczotki i gorącą wodę.... prędko!

— Liziu, nie gniejwaj się....

— Goły hrabia!... o, nie daruję, panie *Bar-tło-mie-ju!* zawołała żona naciskając pogardliwie na demokratyczne imię męża. — Idź, idź sobie!

— Ale przepraszam cię, duszko....

— Dalej, Nastka, lej wodę! rzekła pani Lizia, nie zwracając uwagi na pokorę małżonka.

— Jakto, każesz myć posadzkę?

— Nie wtrącaj się w kobiece gospodarstwo.

— Ale hrabina....

— Lej, Nastka!

Nastka chlusnęła pełnem wiadrem pod nogi pana Idziego, który podskoczył, i wyszedł mrucząc:

— Zawsze tak!... gdy humor dobry, to: Idzi, Dziunio... potem Serwacy... ale niech przyjdzie zła chwila, to leje w oczy Bartłomieja[1], a pod nogi gorącą wodę... te trzy imiona, to barometr usposobienia Lizi....

II

Natalka.

Uszedłszy szczęśliwie z podwójnego potopu gorącej wody i niemniej gorących wymówek żony, pan Idzi przeniósł się na ganek i tam rozłożył zaczętą pracę.

Ale przebyta przed chwilą scena małżeńska krzyżowała poetyczne myśli twórcy nowej szkoły allegorycznej. Coraz silniej tarł i gładził łysinę, a coraz rzadziej brał za pióro.

— Zawsze jakaś przeszkoda!... mówił sam do siebie. — A byłem natchniony jak nigdy. Noc — i słońce... co za pomysł!... A tu Lizia ze swoim hrabią. Natalka go nie lubi, wiem o tem... a Natalka, to moje słońce... ha! co za myśl!... Natalka — słońce, a hrabia Henryk — to noc! Brawo, brawo! szczytna myśl! gdyby przypadkiem... ktoś nieproszony zajrzał w moje pisma, gdyby rewizja... komisarz pyta: *„Herr! was bedeutet?“* a ja przybieram niewinną minę i odpowiadam: „To poemat o koszyku, który moja córka uplotła dla odrzuconego konkurenta.“ Komisarz czyta — i nie rozumie... oto allegorja!

I pan Idzi, zadowolony z wybiegu, który miał go osłonić od możliwych zawikłań z opiekunami porządku społecznego, pogrążył się w zadumę i tarł łysinę, szukając w niej końcówek do swoich szczytnych myśli.

Tymczasem, w głębi alei ogrodowej, której jeden koniec przypierał do ganku, a drugi dawał widok rozległy na okolicę i gościniec, ukazała się młoda panienka. Chód jej był powolny i niepewny, a oko zasmucone. Czytelniczki domyślają się, że tą panienką jest Natalka, córka pana Idziego. Powinienbym na tem miejscu podać dokładny jej portret: opisać oczy, nosek, usta, ząbki, włosy, rączkę i tam dalej; ale, że to wyszczególnienie jej wdzięków (ulubione przez wielu powieściopisarzy) zakrawałoby na rysopis paszportowy, a paszportów nienawidzę tak jak pan Idzi, który zwał je dokumentem tyrańczego anarchizmu, przeto ograniczam się na powiedzeniu, że była bardzo ładna. Zaś co do jej smutku, wyłuszczam poniżej jego powód, gdyż ta wiadomość jest konieczną dla zrozumienia następnych scen niniejszego opowiadania.

Oto, przed dziesięcią dniami, pan Juljan, młody i majętny obywatel, odwiedził był pp. Piwczyńskich, czyli mówiąc poprawnie — „złożył im swoje uszanowanie.“ Podczas tych odwiedzin pani Piwczyna oddalała się często, dla dozorowania Magdusi i Nastki, które po raz trzeci w ciągu miesiąca myły i wyprzątały pokoje gościnne; pan Idzi był roztargniony, bo szukał rymu do przymiotnika: żółty, i nie mógł go znaleźć. Juljan zatem rozmawiał swobodnie z panną Natalją, i w ciągu tej rozmowy obiecał, że dziś przyjedzie, za co pozwolono mu ucałować rączkę, powyżej opisaną. Ale Natalka od godziny stała w alei ogrodowej, od godziny patrzała na gościniec, który długą wstęgą rozwijał się w dolinie, a najmniejszy obłok pyłu nie wznosił się z powiewem wiatru i nie zwiastował pana Juljana. Nic dziwnego więc, że Natalka była smutna.

Ale jak ptaszek, milczący podczas burzy, z pierwszym błyskiem słońca wysuwa główkę z pod skrzydełka i znów rozpoczyna swe wesołe świegotanie, tak i Natalka, z natury żywa, wesoła i rezolutna, nie umiała długo wzdychać i frasować się. Zobaczywszy pana Idziego, który w poetycznym zapale machał rękami jak wiatrak w pełnym biegu, podbiegła ku niemu z uśmiechem na ustach i z wyrazem serdecznego przywiązania w oku.

— Tatku, czy znów poezja?

— Pst, pssst!..... poczekaj, nie przeszkadzaj..... za chwilę skończę.... ot, brawo! dałaś mi rym....

— Ja? ciekawam doprawdy.

— Tak, tak, mówił pan Idzi pisząc szybko czworowiersz złapany. — Dałaś mi rym, a raczej znalazłem go mówiąc do ciebie. Posłuchaj:

Więc pod twoim płaszczem zdradzaj
I bierz dukata,
Lecz mi świecić nie przeszkadzaj,
Bom ja dla świata.

Widzisz? — *„przeszkadzaj;“* tego brakowało mi właśnie. —

— Ale co to znaczy, tatku?

— Jest to koniec ody... ale, ale, ale, ta oda i do ciebie się stosuje.

— Do mnie?

— To jest, niezupełnie. Ale dla uniknięcia prześladowań politycznych....

— Nie rozumiem. Cóż ja mam wspólnego z polityką?

— Posłuchaj. Moja oda ma tytuł: Noc i Słońce. — Pojmujesz? Noc, to ślepota anarchji... słońce — swoboda społeczna. Allegorja zbyt wyraźna. Każdy ją zrozumie, nawet nie wtajemniczony w echa drgań patrjotycznych. Otóż, miałem sprzeczkę z matką.... mówiliśmy o tobie.

Natalka przysunęła się do ojca, i opierając główkę na jego ramieniu, zapytała napozór obojętnie:

— O mnie?

— Tak, tak.... o tobie.... i o kimś jeszcze.....

— O kimże, tatku?

— O hrabi Henryku.

Natalka zbladła.

— Widzisz, moje dziecko, matka..... mówiła.... że chce.... a ja.... mówiłem.... że nie bardzo chciałbym.... i pytałem: „a czy Natalka zechce?....“ a matka rzekła: „ja chcę, i dosyć.“ — Cóż ty na to?

— Ja?.... ja nierozumiem, rzekło dziewczę niepewnym głosem.

— No, to powiem ci wyraźnie. Kochasz hrabiego Henryka?

— Nie, odparła Natalka stanowczo i z energją.

— Wybornie! moja oda trafia w samo centrum.... posłuchaj: słońce, to ty; noc, to Henryk.... i bierze dukata, rozumiesz?... a potem...

— Mój tatku! mój kochany, drogi tatku, a cóż mama na to?

— Alboż ja wiem! ot, uparła się i chce, żeby cię zrobić hrabiną.

— Dziękuję za zaszczyt!

— I ja dziękuję. Majątku niema, fumy za trzech, cienki, blady, słabowity... wolałbym huzara.

— Nie potrzeba i huzara, tatku. Przecie...

Tu Natalka zatrzymała się.

— Ej, figlarko! dokończ-no tylko.

— Co takiego?

— Mów-no, kto się zagnieździł w twem serduszku?

Natalka zarumieniła się. Powóz zaturkotał w alei.

— Mówże, zachęcał pan Idzi.

Panienka rzuciła okiem w aleę, objęła rączkami szyję ojca i nachylając zarumienioną główkę do jego ucha, szepnęła:

— Właśnie nadjeżdża.

— A, pan Juljan! zawołał gospodarz, gdy powóz stanął przed gankiem. — Natalciu, idź, uwiadom matkę.

Dziewczę wybiegło co rychlej, nie powitawszy nawet przybyłego, rade, że może ukryć swe pomięszanie.

— Cóż słychać, kochany sąsiedzie? zapytał pan Idzi. — Proszę, siadaj tu tymczasem, bo moja żona, wiesz... porządnicka...

Juljan uśmiechnął się.

— Przejeżdżając tędy, nie chciałem ominąć sposobności i wstąpiłem na chwilę....

— Na chwilę? zostaniesz przecie na herbatę...

— Ale...

— Niema ale. Hej! Piotr, Paweł, jak ci tam?..... ruszaj do stajni!

— Ależ nieśmiem...

— Sza! ani słowa. Herbata będzie dobra, zobaczysz. Natalka ją sama naleje.

I pan Idzi zaśmiał się dobrodusznie.

— W tem jest coś, pomyślał Juljan.

— Chyba, że na serjo nie chcesz, kończył pan Idzi; no, to ruszaj sobie z Bogiem, a ja wypiję herbatę Natalki. Ha, ha, ha! — Wiesz kochany panie Juljanie, to mi daje wyborną myśl do satyry politycznej, pod tytułem: „nie chcę herbaty.“ Rozumiesz? Herbata, to konstytucja; a ten ktoś, co jej nie chce, to reakcja. Możnaby to ułożyć inaczej: herbata, to monopol tytuniu... ale co tam! wy młodzi gonicie za czem innem jak za poezją polityczną.

— Owszem, łaskawy sąsiedzie, i ja zajmuję się losem kraju, polityką, słowem...

— Tak, tak... jeżeli chodzi o konstytucję małżeńską, ha, ha, ha!

— Pani Eliza zatrudniona? spytał Juljan, aby zmienić rozmowę, której celu nie pojmował.

— A naturalnie. Moja żona zawsze jedno i jedno: myj, zamiataj, froteruj... prawdziwa manja. Ot, i teraz wygnała mnie na ganek. Ale myślę, że przyjdzie za chwilę, dowiedziawszy się, jak miłego mamy gościa. A w każdym razie Natalka nie zostawi nas samych; tak myślę przynajmniej.

I powiedziawszy z naciskiem te słowa, pan Idzi zaśmiał się znowu.

Ten zwrot rozmowy, ta wesołość i uprzejmość niezwykła gospodarza, nagłe zniknięcie panny, wszystko to zastanowiło Juljana; i nagle, uzbrajając się w odwagę, postanowił skończyć stan niepewności, w którym od pół roku przebywał.

— Kochany panie, przemówił jąkając się trochę, — tak serdeczne przyjęcie... nie wiem, czemu przypisać...

— Ba i bardzo! doprawdy nie wiesz, panie Juljanie? oto podobasz mi się, i kwita.

— A gdybym... ośmielony tą łaskawością... zapragnął więcej?... gdybym...

— Czego naprzykład?

— Kocham pannę Natalję...

— No, to mówże odrazu! Widzisz, kochany panie Juljanie, jesteś poczciwy i porządny chłopiec... nie masz herbu, to prawda; ale i ja go nie mam... a choć moja żona mówi... ale co tam! jeśli Natalka cię kocha, to grunt. Chodź, kochany chłopcze, uściskaj mnie!

Juljan nie dał sobie mówić dwa razy. Odurzony swojem szczęściem, poskoczył i z prawdziwie młodzień-

czym zapałem pochwycił pana Idziego w swe ramiona.

— Aj! połamiesz mi kości! zawołał tenże wśród uścisków. Ale to nic, jesteś chwat! Ten wymokły Henryk i tegoby nie potrafił.

Wśród tych objawów radości wbiegła Natalka. Spojrzała, i wykrzyk zadziwienia wyrwał się z jej ust.

— Chodź, chodź, Natalciu, rzekł ojciec.

— Sza! mama nadchodzi, szepnęło przytomne i energiczne dziewczę, rzucając na Juljana wzrokiem radosnego porozumienia.

— Aj, moja żona! gwałtu! cóżem ja porobił! Panie Juljanie, jak mnie kochasz, ani słowa.

Pani Eliza weszła na ganek i powitała uprzejmie gościa. Lubiła ona towarzystwo Juljana, ale nie dostrzegała w nim niektórych zalet na konkurenta, koniecznych w jej mniemaniu, i nieprzypuszczala, aby coś podobnego wydarzyć się mogło. Inaczej, wstęp do jej domu stałby się dla zuchwałego młodzieńca niezdobytą fortecą. Uczuć Natalci nie domyślala się nawet; zwykle najpierwej je odgaduje przenikliwe oko matki, ale pani Eliza tak troskliwie zwracala swe oko na czystość okien i podług domu, że na opiekę nad sercem córki czasu jaj brakło; a przytem, wola pani Elizy była nieubłaganą. „Hrabia Henryk musi być mężem Natalki,— ja tak chcę!“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika. — *Pan Trzaska nie ma innych mężów polityki za bajbardzo — chociaż są przeciwnego z nim zdania. — Taktyka retoryczna na niewiele przydać się może, kiedy kto cofa się. — Los robi figle kandydatom. — Galerja przywołana do porządku chowa, gwizdawki przygotowane jako broń na przeciwników demokracji*

Kraków stanął obecnie na zenicie namiętności politycznych — i gdyby nam wolno było brnąć w politykę.... niebyście nie straciły piękne czytelniczki moje, gdybym wam zamiast o kurkowym królu, którego temi dniami obrano, opisał— taki krakowski sejmik! Co ognia! co ferworu! a co hałasów!— a jakie gorąco na galerji!! Wszystko to jak widzicie piękne panie, jest najpalniejszym materjałem do tygodniowej kroniki i gdyby nie uniżone względy na C. K. Prokuratorją, która mogłaby znaleść rację zapakowania mnie do kozy— i karmić tam chlebem a wodą; nie tylko napisałbym wam co się na tych sejmikach dzieje — ale nadto rozebrałbym obraz wielkiej i małej polityki jaką Galicja na swoją rękę prowadzi. Jednakże, ponieważ jest wszelka nadzieja, że i wy piękne panie doj dziecie kiedyś do głosu w kwestjach politycznych — gdy was równouprawnią z nami, powinnyście studjować politykę. Polityka bowiem dzisiaj na porządku dziennym — do tego stopnia, że u p. Robackiego na miodku pod sekretem opowiadają sobie panie majstrowe — jakie wrażenie wywarła mowa p. Trzaski, na umyśle Cesarza Napoleona!

Napoleon miał się tem zmartwić bardzo, że pan Trzaska bez porozumienia się z Rochefortem paryzkim — prowadzi politykę na swoją rękę— a szczególniej kiedy się dowiedział, że mowca przyrzekł Rządowi 200000 żołnierza, gdyby tenże pozwolił dokuczać szlachcie. — Szczęściem dla szlachty opatrzność odłożyła na później ten krwawy dramat, który byłby wielce dla pana Trzaski zabawny— a tymczasem do załatwienia wszelkich żądań narodu Pipidówki wyciągnęła z urny innych wyborców sejmowych. Powiadają, że to intrygi arystokracji, która pogrzebana, wstaje na nowo bruzdzić w kraju!— Zgorszone kumoszki u p. Robackiego protestują przeciwko takiemu porządkowi rzeczy— forytując okropnemi afiszami na posła p. Trzaskę, który jako kwintesencja odwagi cywilnej doszedł do pewnej popularności w Pipidówce u poczciwych kumoszek. Tak więc stronnictwo p. Trzaski porażone prawie zupełnie obejść się musi bez posła, przynajmniej w tym roku, a pan Trzaska bez teki ministerjalnej.

Na tem kończę mój przegląd spraw politycznych i jedynie przez wzgląd na C. K. Prokuratorję i sądy przysięgłych, wracam do porządku dziennego, to jest na błonia krakowskie, gdzie fajewerki i pod niebo wylatujące race, tak rozochociły gamenów naszych— że ci nie pomnąc na całość oraz nietykalność konstytucji i równouprawnienia, poturbowali kilku spokojnie przypatrujących się żydków kazimierskich. — Bijatyka skończyła się na lekkich guzach— i więcej podobno było strachu niż bólu. —

ROZMAITOŚCI.

Czy mu gęś smakowała? (Anegdota Angielska). Kiedy zmarły niedawno biskup anglikański z Lichfield, Samuel Butler był jeszcze prostym plebanem, sławny doktor Parr, żyjący w jego okolicy, odwiedzał go bardzo często i zwykle, po każdej wizycie, zostawał u niego na obiedzie. Pewnego razu, jadąc konno do swego przyjaciela, Dr. Parr zaskoczony w drodze straszną ulewą, przybył do plebanji zmoczony do nitki. Gospodarz wprowadził go natychmiast do swego sypialnego pokoju i zmieniwszy jego przemokłe ubranie na swoje własne, usadowił go przed kominkiem, na którym ożywczy dla skrzepłych członków doktora gorzał ogień, sam zaś powrócił do swego pokoju, by dokończyć kazanie, jakie swoim parafjanom miał nazajutrz powiedzieć. — Niedługo potem, gość jego, osuszony i ogrzany, otuliwszy się w szlafrok gospodarza, z czapeczką watowaną na uszach i w jego pantoflach, wszedł cichutko do pracowni a nie chcąc mu przeszkadzać w pracy, zasiadł z jakąś książką w ręku na uboczu, czekając niecierpliwie na pokrzepienie sił swoich obiadem. Po kilkunastu minutach milczenia, w ciągu których pleban był zajęty pismem a doktor czytaniem, ten ostatni podniósł nagle głowę, obejrzał się do koła, i zaczerpnąwszy kilka razy całemi piersiami i nosem powietrza, zawołał radośnie: „Mamy gęś na obiad!“ — Je na prawdę nie wiem, odpowiedział gospodarz, ale to być może, bo moja kucharka wie doskonale co ty lubisz. — I znowu nastąpiło milczenie, przerywane tylko skrzypem pióra piszącego kazanie plebana. „Pewny jestem gęsi!“ —

zawołał znowu Dr. Parr po jakimś czasie, wzdychający czule do obiadu i mile podrażniony dolatującemi go z kuchni zapachami. Bo też rzeczywiście, całe mieszkanie plebana napełnione było w tej chwili wonią doskonale upieczenej gęsi. „Wyborne jedzenie! — wyborne, dalibóg!" — mówił doktór cmokając językiem. „Proszę panów na obiad!" zawołała w tej chwili gospodyni plebana, uchylając drzwi do pracowni swego pana. — Gość zgłodniały zerwał się na równe nogi, by w sypialnym pokoju przebrać się w pozostawione przed kominem własne odzienie. Ależ, o zgrozo! Straszny widok uderzył jego oczy! Ulubiony kapelusz, tudzież starannie ufryzowana i wypomadowana peruka doktora, zrzucone przypadkiem przez swawolną kotkę, smażyły się nasiąkłe rozmaitemi olejkami i tłuszczem w zarzewiu, wyziewają naspónętniejszy zapach pieczonej gęsi, zapach, który biednego przemokłego doktora przed chwilą tak apetycznie rozmarzył. Łatwo sobie wyobrazić minę człowieka, który straciwszy smakowitą gęś tak wonnie pieczoną, pozbywszy się kapelusza i peruki, był w końcu przymuszony pokrzepić siły swoje tylko befsztykiem i nieodzownym w kuchni angielskiej pudyngiem. Gęś przepadła, a woń z tych usmażonych przyborów jego mądrej głowy, była mu jedyną, smutną przyprawą, tak gorzko zawiedzionej nadziei! Czy mu ta gęś smakowała?

Początek kapeluszów cylindrowych. Używane teraz w całym świecie cylindry jedwabne, mają podług podań wiarogodnych pochodzić wprost z Chin, ojczyzny jedwabnictwa. Pierwszy taki kapelusz jedwabny miał sporządzić przed 40 laty pewien czapkarz Chiński, podług wzoru cylindra pilśniowego, na żądanie jakiegoś Francuzkiego turysty i badacza natury, a ten przywiózł go do Europy gdzie najpierwszy p. Dupount w Paryżu pochwycił ten wynalazek, który teraz przynosi we Francji 60 miljonów rocznego dochodu. O samem jedwabnictwie opowiada stara kronika, że wynalazł je przed 4000 lat Chiński cesarz Iwangting i że przez długi czas było ono tajemnicą familji cesarskiej, aż wreszcie zdradziła ją jedna z księżniczek. — Czegóż to kobieta nie zdradzi! Do Europy dostało się jedwabnictwo w r. 1148, najprzód do Palermo a ztamtąd do Francji, Anglji i Niemiec.

Szczególny pojedynek. Pewien bogaty kupiec w mieście Valparaiso został wyzwany na pojedynek przez jednego z oficerów. Wedle prawideł przyjętych w tego rodzaju tak zwanym *sprawach honorowych*, należało mu posłać sekundanta dla umówienia się o warunki spotkania, tymczasem wyzwany ów kupiec napisał do wyzywającego następujący list: „Wcale bym sobie nie życzył zabić pana, a tym mniej, abyś pan mię zabił. Ale jeżeli już koniecznie postanowiłeś się strzelać, to posłuchaj co Ci poradzę: Oto udaj się pan do pobliskiego lasu i upatrz drzewo takiej grubości, jak ja, odstąp odeń pięćdziesiąt, trzydzieści lub piętnaście kroków (stosownie do tego, jak się panu spodoba), a stanąwszy na obranej mecie, śmiało strzelaj. Jeżeli pan trafisz, uznam się za winnego i przedłożę mu przeprosiny. W przeciwnym razie pan to uczynisz." — Oficer się naśmiał i nie myśląc długo zaprosił kupca na obiad, na którym nastąpiło pogodzenie się a następnie nawet połączyli się z sobą jak najściślejszą przyjaźnią.

Nowy rodzaj kopert listowych, bardzo jest odpowiedni dzisiejszym stosunkom handlowym, sprawiają one w tem przyjemność odbierającemu: że mogą być otwierane z nadzwyczajną łatwością, gdyż nie potrzeba do nich noża ani nożyczek. Ten nader praktyczny przyrząd polega jedynie na nitce, wystającej z jednego dolnego rogu, za pociągnięciem której, można otworzyć kopertę, nie uszkadzając bynajmniej listu, adresu i stempla. Koperty tego rodzaju używane już są w Berlinie.

OD ADMINISTRACJI „KALINY."

Szan. pp. Prenumeratorów, którzy zalegają z prenumeratą na kwartał 2gi, prosimy o nadesłanie takowej — oraz o spieszne odnowienie na kwartał bieżący, — albowiem tylko tym pp. prenumeratorom nasz dziennik posełać będziemy, którzy na kwartał trzeci prenumeratę nadeszlą.

REBUS.

zgłęd zgłęd
p. mo zgłęd ów pełza 2. 4. 8. 16. rodni **puła**
zgłęd zgłęd

y y y y y y
y skinie y
y y y
y y y y y y
brano posła
krako
skiego skiego
skiego Trzaski skiego
skiego skiego

Znaczenie Rebusa w N. 21. Królikowski dwa razy podobno przed odjazdem wystąpi jeszcze.

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.